

zamu z bajki. I nagle okazuje się, że zaraz za drzwiami jest parapet okna i że jest to okno mojego mieszkania na siódmym piętrze. Nasz śmiech staje się krzykiem, który wznosi się wysoko i nagle urywa jak ucięty nożem. Obracam się przez ramię i widzę, że twarz mamy jest tak naprawdę moją twarzą i że ciągle śmieje się do mnie, jakby tylko udawała, że szukamy tego mieszkania i wiedziała od początku, jak to się skończy. Ja też się więc uśmiecham, zdejmuję swoje czarne zamszowe szpilki i robię krok do przodu.

## Z mlekiem matki lustro i lód

Nie będzie opowieści. Fragmenty. Pod spodem moich wyborów. Migające obrazy. My dwie na fotografii z podróży. Niepodobne. Nierozłączne dwie. W wyprawie po innego Graala. Albo na wyprzedaży. Ścinki. Słowa ślepe jak krety. W labiryncie języka na drodze znikąd do nikąd.

Zostawiłaś odciski swoich palców na moich snach, mamo. „Utraciłyśmy siebie na samym początku”. Ja ciebie. Ty mnie. „Jesteś mną ofiarą we mnie”. „Czasem nie wiem, gdzie się kończysz”. Gdzie ja się zaczynam, mamo. Z twoich ramion wydarta, noszę cię w sobie. Mówię do ciebie zdaniami z mądrych książek, bo zabrałaś mi moje słowa. Wydłubałaś im oczy. Ślepe nie mogą znaleźć drogi. Coraz głębiej w melancholii. Czytam *Czarne słońce* Julii Kristevej. Tuż za oknem, po rzece Hudson, przepływa ogromny statek wycieczkowy. W deszczu. Migając światłkami. „Brakuje mi ciebie”, krzyczę w słuchawkę



przez kolejne morze. Oto doskonały przykład innej sceny języka. Pod *énoncé* matki ukrywa się *énonciation* jej braku. Bezpodmiotowość matczynego „ja” złapana w sieć znaczących. Niema złota rybka, która nie spełni żadnego mojego życzenia.

Rycina wyrwana ze starej książki o potworach towarzyszy mi we wszystkich podróżach. Znaleziona w wiedeńskim antykwariacie. Jakiejś zimy sprzed lat. Z kimś, o kim pamiętam tylko to, że lubił marynowane patisony. Takie malutkie, niedojrzałe. Sinozielonkawe. Poronione płody dorosłych warzyw. Kupił mi wybrany obrazek. Bez przekonania, bo na co dzień malował duże, obłe kobiety, co do których nie można było mieć żadnych wątpliwości. Od lat stawiam swojego potwora na kolejnych biurkach. W kolejnych domach. Zamiast zdjęcia ukochanego, które zbyt często musiałabym zmieniać. Obok mojego zdjęcia. Wybieranego zależnie od okoliczności. Monstrum z dodatkową twarzą pasożyta. Twarz na brzuchu. Inna twarz wrosnięta na zawsze. Paraliżuje mnie twoim wzrokiem, mamó.

Mała dziewczynka z mojego snu rysuje swoją mamę. Nagą. Wielkie piersi. Klepsydra bioder. Czarny trójkąt włosów między nogami. Gotowe. Patrzy przez moment. To nie to. Zamazuje wizerunek grubym pisakiem. Dokładnie. Drze go na drobne kawałeczki i wyrzuca. Za chwilę pójdzie pojeździć na wrotkach. Jej ulubiona zabawa polega na tym, aby zjechać po stromej pochylni dla wózków i wyhamować tuż przed wystawową szybą.

Dziewczynka, szybka i zwinna, powtarza sztukę bezbłędnie. Wiele osób myli ją z chłopcem, a ona nie jest jeszcze pewna, czy ją to cieszy czy złości.

Od lat czytam o konieczności innego dyskursu. O kobiecej rewolucji, z której wyłonią się światy świeże jak pisklęta. Demeter i Persefona w czułym uścisku. Teksty pulsujące w rytm ich oddechu. Rozkosz, która nie zna Prawa. Luce Irigaray „dwoje ust w nieustannej pieśczości”. Preedypalna muzyka sfer. *Écriture féminine. Parler-femme*. Wyrafinowane Francuzki z dobrych uniwersytetów piszą książkę za książką. Julia Kristeva w lewej kolumnie słynnego „pękniętego” tekstu wprowadza „semiotyczne ciało” rodzącej kobiety. Według niej, ponowna identyfikacja córki z matką zachodzi na poziomie presymbolicznym. Połączenie ma miejsce tam, gdzie niema Rzecz przypomina nowej matce o matce przez nią utraconej. W nagłym błysku, między zwierzęcym krzykiem a słowem, pojawia się inna scena. W horrorze ciała, od którego odrywa się inne ciało. W semiotycznej otchłani. Niemożliwe do sublimowania spotkanie rozdzielonych na zawsze. O matce pisze od lat Luce Irigaray. Deotyma, która nieproszona pojawia się na Platonńskiej uczcie i odbiera to, co jej ukradziono. Mistrzynie me-tafor rozrastających się jak kłacza. Zwinna filozoficzna wiewiórka. Hop z cytatu na cytat. Heidegger i Nietzsche. Derrida, Freud, Lacan. Podniebny Levinas. Do matki mówi suchymi słowami tożsamości i winy. Słowami, których pępowina odcięta została od ciała i krwi. *La glacé*, lustro i lód, wypięłam z twoim mlekiem, mamó. Żali się mała dziewczynka.



czynka czytana w psychoanalizie. I inne. Teksty pukające do drzwi. Proszące. Teksty „podania” zamiast „anagramów erotycznych ciał”. Teksty bez „przyjemności tekstu”. Jak dzieci tupiące nogami przed majestatem Ideologii.

Adrienne Rich, poetka bliska ciała słów, przypomina stary perski mit. Według niego to kobieta stworzyła świat w akcie kreacji niemożliwej dla mężczyzny. Urodziła wielu synów, a oni – przerażeni siłą matki – pomyśleli, że skoro daje życie, może je też odbierać, i zabili ją.

Znajoma dziewczynka z mojego snu oglądała w koszu zakrwawioną podpaszkę. Z taką samą uwagą, z jaką wcześniej podziwiała rozgniecioną kamieniem żabę. Która jeszcze troszkę się ruszała. „Jak dorośniesz będziesz taka sama jak mamusia”. Mamusia ukryta w chudym elfie, który rozgniata kamieniami żaby. Przyczajona pod skórą zbyt długich ramion i nóg. Budzi się powoli. Horror zrepresjonowanego powraca w małym punkcie na środku brzucha. Pod zaciśniętymi powiekami drga ciemne krwawe słońce. Nagła rewolta fizyczności katapultowanej z trzymającej ją w ryzach struktury. Traumatyczne jądro symbolicznego porządku. Blizna po tym, co łączyło z matką. Jej ciałem. Nieuleczalna rana. Nie lubię, jak ktoś mnie tam dotyka.

Grudzień w Warszawie. Mgła i deszcz. Słucham *Lamento* Ariadny Monteverdiego. Nadmuchiwany Mikołaj urwał się z uwięzi i dryfuje po mokrym niebie. Wzdęty

odwłok topielca w czerwonym szlafroku. Śledzę jego lot stojąc w bramie cudzego domu. Niknie mi z oczu za sklepem rybnym. Anioł zagłady dla czekających na egzekucję karpi. Wsiadam do spóźnionej taksówki. Jadę na spotkanie, które nie spodobałoby się mamie. Zbyt duży dekolt. Za późno. Za zimno. I też zostanę u kresu labiryntu z niepotrzebnym już kłębkim w dłoni. Cierpię na bezsenność. Żaden Dionizos nie zaskoczy mnie na Naksos po odejściu Tezeusza. (Nikt nie wie, dlaczego Tezeusz zostawił tam Ariadnę. Śpiącą ufnie.) Nie wzięłam czapki oczywiście. „Znów latasz z gołą głową”. Oczywiście. Sprawdzam w lusterku swoją dzisiejszą twarz. Twarz kochanki. Łasej pieszczot jak kot. Jest na miejscu. Znajomy taksówkarz potwierdza jej obecność bezpretensjonalnym zachwytem. „Pani patrzy”, mówi do mnie po chwili chcąc podtrzymać zamarłą z mojej winy konwersację. „Pani patrzy, jakie głupie reklamy rozwieszają”. Podnoszę wzrok we wskazanym kierunku. Na billboardzie, pośrodku, pępek. Cieliści kwadrat ciała podpisany: „Blizna po matce”.

Inny Innego nie istnieje, mówi Lacan. Kobieta jest Innym, ale nie ma Innego. Córkę codziennie popełniają nieudane matko-samo-bójstwo. Powtarzają historię swoich matek. Reprodukują. Homoseksualne melancholiczki z nie do końca porzuconym obiektem. Takim samym ciałem ciągnącym jak kula u nogi. Nawet jeśli znają psychoanalityczne teorie matek fallicznych i kastrujących. Opowieści o tym, czego muszą pragnąć, a o czym zapomnieć. O clitoris i waginie. O tkaniu i pisaniu. O synkach, którzy



mają im zastąpić fallusa. O córkach, które przeniosą miłość do nich na kolejnych tatusiów. O niechęci z tego samego źródła płynącej, co tęsknota. Melancholiczki. Z zachwytem czytają poetów, którzy umieli wyrazić pragnienia dziewczynek. Oplakać matkę tak, jak Poe. Być swoim ojcem i matką jak Artaud. Można pisać tak, jak odprawia się egzorcyzmy. Ze śmiertelną powagą. Znajomością zaklęć i odpowiednich gestów. Można wierzyć, że córka – dopóki pisze – różni się od matki. A „ona” – inna i kochana – pojawi się w końcu tam, gdzie było symbiotyczne „ty” dziecięcej prośby. Można szukać lekarstwa na melancholię. Czemu nie.

Druga modlitwa księżniczki Ateh ze *Słownika Chazarskiego*: „Nauczyłam się na pamięć żywota matki i niby rolę w sztuce co rano odgrywam go przed lustrami. To trwało dzień po dniu, lata całe. Czynię to odziana w matczyne suknie, z jej wachlarzem w dłoni i w jej uczesaniu (...). Gram moją matkę także wobec innych, nawet w łóżku ukochanego. W chwilach namiętnych pieszczot przestaję istnieć, to już nie ja, ale ona. Tak dobrze ją wtedy gram, że moja namiętność znika, zostaje tylko jej namiętność. Innymi słowy, skradła moje wszystkie miłosne uściski. Lecz nie mam jej tego za złe, wiem, że w swoim czasie ją także w ten sam sposób ograbiła matka. Jeśli ktoś mnie teraz zapyta, po co tyle aktorstwa, odpowiem: usiłuję urodzić siebie jeszcze raz, tyle że w lepszy sposób...”

Sama w domu Wielkiego Gatsby’ego. Już znana przestrzeń. Zapamiętany zapach. Rozróżnialne szczegóły. Od

ostatniego razu zniknęło jego stare zdjęcie z jakąś kobietą. Krótkowłosą szatynką. Do martwej natury na kuchennym stole dodana została połówka grapefruita. Szklisko różowa. („Też lubi grapefruity!”, podobieństwo, które zyskuje sens jedynie dla zakochanego podmiotu). Na biurku leży nowa książka. Przyniesione przeze mnie *Wszystkie imiona* Saramago. Czytał. Zostawił ołówek na stronie osiemdziesiątej siódmej, gdzie pan José wkrada się do szkoły po kartę nieznajomej. Biorę w rękę porzuconą obok książki gazetę. Ot, tak sobie. Jakbym tu mieszkała. Czytam propozycje gwiazdkowych prezentów „dla naszych milusińskich”. Dla niego: rozkładany robot, 40 cm, chodzi, mówi, świeci, albo zestaw samochód plus narzędzia. Dla niej: zestaw wózek plus bobas (z akcesoriami).

Maria Dziewica. Najważniejsza matka w naszej cennej tradycji Zachodu. Doskonały pokarm dla kobiecej paranoi, o której pisze Julia Kristeva w *Stabat Mater*. Wizerunek Marii Dziewicy daje kobiecie złudzenie, że można wejść w porządek symboliczny bez konieczności poświęcenia rozkoszy prymarnego narcyzmu. Pierwszej identyfikacji i pierwszej miłości. Mami iluzją, że uda się jednocześnie uciec pod obronę doskonałej, nieśmiertelnej, świętej Matki i Ojcowskiego Słowa, które ją definiuje. Taki jest początek historii Kobiety. Ofiary złożonej na ołtarzu porządku symbolicznego. Pożartej przez Dziewiczą Matkę Boga-Mężczyzny. To od Niego zaczyna się Jej opowieść. Jedyna, jaką znamy. Symboliczna Matka tego, co transcendentalne nie zna prymarnego narcyzmu i miłości.



ści poprzedzającej Słowo Ojca. Na zawsze odcięta od tego, co semiotyczne. Od cielesnego przedjęzyka pierwszych separacji i negacji. Ma tylko mleko i łzy. Boskie dziecko i samotną rozpacz.

Oto bajeczka, którą przerażony chłopiec opowiada sobie przed zaśnięciem. Lepiej wykluczyć *jouissance* Matki z opowieści o Dziewicy niż samemu zostać wykluczonym z *jouissance* sceny prymarnej! Męski sposób na pozbycie się przyjemności matki. Mała mistyfikacja o katastrofalnych skutkach: Słowo zamiast prymarnej sceny, a niepokalne poczęcie w miejsce rozkoszy nie-do-zniesienia. Reprodukacja nienawiści. Z wieku na wiek. Naznaczanie żywego ciała Słowem jak rozżarzonym żelazem. Codzienne udomowianie potęgi.

Odwiedzam na chwilę miasto, w którym kiedyś mieszkałam. Kościoły i mosty. Oplątane ośmiorniczymi maczami rzeki. Forsycje kwitnące pod koniec grudnia w Parku Południowym. Długie, spokojne spacer. Karmimy z Lulkiem łabędzie na przydomowym stawie. Wieczorami patrzę na półprofil pochylony nad klawiaturą komputera. Do tego *Lakmé* i *Aria z dzwoneczkami*. Tropem matki przeglądam książki w ciągle jeszcze moim domu. Przez dzień, dwa. Zanim znów wyjadę. Najpierw stary Gadamer. O matce rozdzielonej z córką w *Czarodziejskim flecie* Mozarta. Długo pisze, po niemiecku i nudno. Jakiegoś księdza listy do matki. Eleganckie i błahe. Genialnego poety książka o matce. Piękna. Nagrodzona. I bardzo kultu-

ralna. W jakimś przypadkowym numerze „Odry” wiersze młodych poetek o imionach jak z latynoskich telenowel i szeleszczących polskich nazwiskach. A w wierszach same banalne matki, co dają zbyt dużo lub zbyt mało. W innej „Odrze” dobry gejowski pisarz publikuje wiersz o matce. Cytuje Manna *Czarodziejską górę*. I w ogóle. Ładny wiersz. I bardzo grzeczny. A on akurat powinien wiedzieć lepiej.

Druga strona Słowa. Słowo śmierci. Wieża z kości słoniowej. Imię tego, co nienazywalne. Pergolesi napisał *Stabat Mater* umierając na gruźlicę. W miejsce śmierci, rzeczy nie-do-pomyślenia, ustanowił miłość macierzyńską. W jedynym znanym nam geście separacji, który umożliwia sublimację. Oto największe „źródło cierpień ludzkiego gatunku”, pisze Julia Kristeva.

Wracam w nocy taksówką od Wielkiego Gatsby'ego. Jakiś wypadek na Marszałkowskiej. Coś leży przykryte płaszcem. Nie odwracam wzroku. Inny mojego języka wylania się z pomysłowego zmęczenia. Wredny perwert o twarzy chorego Bachusa z obrazu Caravaggia. W oparach whisky. „Nie dajmy nabrać się na życia podły kant że można więcej mieć, mieć więcej niż ten grand jaki grand może grant jaki kant kanta sade'm lacan”. Taksówkarz pyta, czy wolę Górczewską czy Powstańców. Powstańców. Perwert na scenie nieświadomości zastyga w tanecznym pas. Przypominam sobie słowa sprzed godziny. Ciemny pokój i dwie bezlistne topole. Graficzny rysunek gałęzi



w kwadracie okna. Jak niedokończony witraż. Jeszcze bez kolorów. Ciepła dłoń na moim brzuchu. Płaskim. „Brzydzę się kobiet w ciąży. Zawsze odwracam wzrok”, mówi mężczyzna, z którym mogłabym mieć dziecko. Pięknego utalentowanego Edypka. Jeszcze nigdy nie był mi tak bliski.

Wszystkie jesteście Jokastami, pisze Luce Irigaray. Chcę syna. Kolejny akt matkobójstwa. Mój strach przed byciem matką kobiety.

Obrazek w książeczce „wyjaśniającej dzieciom tajemnice życia”. Przekrój macicy ze skulonym wewnątrz płodem. Wielka łysa głowa. Ślepe oczy. Gruzłowata pępownina prowadząca nie wiadomo dokąd. Wszystko to w ciasnej gruszcze z mięsa. Wypełnionej wodą. Znajoma dziewczynka z mojego snu jest pewna, że piąstki potworka są zaciśnięte w przerażeniu. Przychodzi jej też do głowy, że przerażenie osoby noszącej go w swoim ciele może być stokroć straszniejsze. I to, że ona ma takie właśnie ciało. Takie samo. Wrywa więc obrazek i chowa najlepiej jak potrafi. Pod wykładziną w kącie pokoju. Nie może się jednak oprzeć, aby nie sięgać po niego raz po raz. Coś we mnie! Inny nie do oderwania! Inny czy ja?! Dokładnie ogląda się w lustrze. Niemożliwe. Nie wierzy. Nie chce. Nie.

Ciąża to zinstytucjonalizowana psychoza, pisze Julia Kristeva.

Ona Jest. Straszne Coś, czemu tyle uwagi poświęcił starzejący się Lacan. Ciało niemożliwej separacji/identyfikacji. Domena tego, co Rzeczywiste. Nie do końca odcięta kastrującą granicą języka. Zaciera podział ja/inny. Ukazuje kruchość rozróżnienia między podmiotem i przedmiotem. Tym, co wewnątrz i tym, co na zewnątrz. Jak kobieta w ciąży, która raczej JEST właśnie, niż przedstawia cokolwiek. Rzecz. Powraca w każdym rytuale, którego celem jest jej zrepresjonowanie. Odrażająca. Piękna, groźna i Inna.

Czy jak byłam w twoim brzuchu i coś mnie bolało, to czułaś mój ból, mamó?

Na dziwnej granicy między semiotyczną melodią dziecięcych echolalii a porządkiem kontroli i wymiany w Imię Jego. Między Platońską chora, „naczyniem wszechrzeczy”, a Ojcowskim Prawem hierarchii i podziału. W samym sercu Mallarmégo „tajemnicy liter”. Ukrywa niebezpieczne sekrety. Z jednej strony niewola Znaczącego. Madejowe łóżko, do którego dopasowuje się żywe ciała słów. Z drugiej – morze przed-czasu, w którym Zaratustra ponownie stał się dzieckiem. Domena semiotycznej Matki, która musi Tam pozostać. *Das Ding*. Dziwna Rzecz otoczona kordonem zakazów. Opiera się symbolizacji. Kpi z wygrażających jej paluchów. Znak-nie-znak na krawędzi przepaści. Potknięcie języka o to Coś zmienia kulturę w naturę, mowę w śpiew innej *jouissance*. „Śpiewać, to przypominać sobie”, powiedział przy jakiejś okazji Święty Augustyn.



Obraz kobiety stworzyłam na twoje niepodobieństwo, mamó. Wybrałam na matki bezdzietne kobiety. Słuchałam ich mądrych słów. W szkole pani od historii. Miała twarz Napoleona z okresu Dyrektoriatu. Jego portret wisiał w moim półdziewiczym pokoiku. Na białym koniu. Potem Simone de Beauvoir w fantazyjnym turbanie. Pochylona nad nie kończącym się listem do Sartre'a. „Nigdy nie miałam matki”, pisze Emily Dickinson. Ja ciebie też nie miałam. Jestem raczej Juliette niż Justyną. Lubię Angelę Carter. Rozumiem, co ma na myśli pisząc o spaniu z twórcami Prawa. Znam ich słabe punkty i tajemnice. Chronią mnie jak mafia. Wiem, jak wykorzystywać rozum, by służył przyjemności. Jak tresować ból, by służył rozkoszy. Bawię się w czekanie bez doczekiwania. W przemoc męskiej dłoni zbyt mocno przytrzymującej moje ramię. W bardzo prawdziwą tęsknotę za kimś o trzeciej dwadzieścia rano. Powtarzaną co do minuty przez kolejne miesiące. W masochizm, który jest sadyzmem wobec matki we mnie. Bezwolnej ofiary. Kontroluję ją, sprawiając sobie cierpienie. Każda córka patriarchy robi matce symbolicznie to, co pomysłowa Eugenia zrobiła naprawdę w Sade'a *Filozofii w buduarze*.

„Sprawcie, by we mnie umarła kobieta i wypełnijcie mnie od stóp do głowy najsroższym okrucieństwem”, mówi Lady Makbet. „Z płci mej mnie wyzujcie”, zaczyna w innym przekładzie. Ale nie zabija Duncana własnoręcznie, bo za bardzo przypomina jej ojca. Jaka była jej matka?

Jaka była matka złych sióstr Kopciuszka?

Jakieś samotne warszawskie nazajutrz. Niedospane. „Ciało, pamiętaj”, pisał ktoś. Chyba Kawafis? Coś odpowiadam beznadziejnemu znajomemu, którego udało mi się nie spotkać przez szczęśliwe dwa lata. Myślę o samolocie z Wielkim Gatsbyem, który za parę godzin minie się skrzydło w skrzydło z nocą nad oceanem. „Przywrócić godność Kartezjańskiemu cogito, rewaloryzując humanistyczne korzenie podmiotu oraz odrzucając dekonstruktywistyczno-poststrukturalistyczne błędy filozofii, która odrodzić się powinna w nowej wersji paradygmatu kantowsko-kartezjańskiego”, ciągnie znajomy. Myślę o wyższości twórczej samotności nad umówionym już spotkaniem z młodym tłumaczem. Z francuskiego. „Kiedy planujesz urodzić dziecko?”, zmienia nagle temat mój rozmówca. I przysuwa się bliżej. Pierwszy raz zdobywam się na wysiłek spojrzenia mu w twarz. Znowu ma trochę brudne wąsy. „Wiadomo” odpowiadam, „że bezpłodność jest karą Boga dla kobiety. Nie rodzę więc dzieci, żeby ukarać matkę we mnie”. Pan profesor odchodzi zdumiony. Będzie dalej czytał Kanta. Humanistycznie. Bez Sade'a i Lacana. I bez tego zboczeńca Foucaulta.

W nocnej rozmowie telefonicznej zastanawiamy się z Lulkiem, jak przetłumaczyć kategorię *abject* Julii Kristej. „Sensacja symboliczno-somatyczna”, zaczyna Lulek. „Czyli coś, co nie jest jakością samą w sobie, lecz relacją do granicy porządku symbolicznego”, zgadzam się. „Między



podmiotem i przedmiotem. Między mną a innym. Jednocześnie we mnie i na zewnątrz. Pokazuje kruche podstawy podziałów i zakazów. Mówi w imieniu tego, co zostało poza ową granicę wyrzucone, aby porządek mógł istnieć". „Ale nie ma własnego języka". „Ciało matki, które w procesie separacji staje się «odrażającym» alter ego dziecka". „Ohyda". „Przyciąga i odrzuca". „Terror, który się zgrywa", „uśmiechnięta nienawiść", „namiętność handlująca ciałem zamiast je rozpalać", tłumaczę Kristevą. „Wydzieliny, odpadki, trupy, ciało matki", wymieniamy. „Dziecko pokazujące drugiemu dziecku przeżutą papkę w rozdziawionej buzi, pies przejechany przez samochód, kupa kogoś, kogo się zna", ożywia się Lulek. „Lekarz Haendel ssący lechtaczkę rodzącej kobiety w *Sztuce i kłamstwach* Winterson", daję kolejny przykład. Lulek protestuje. Gwałtownie. I zmienia temat mówiąc, że w jednym z akapitów mam Platona, Mallarmégo, Zaratuszę i Świętego Augustyna. I że to dopiero jest odrażające. Ignoruję uwagę Lulka i przypominam sobie w końcu, że ktoś wymyślił słowo „wymiot" na ten *abject*. Ale nie pamiętam kto. „Bez wymiotu nie ma podmiotu", mówi na to Lulek, nie bez racji, i każe mi iść spać.

Jeden rok się kończy, a drugi zaczyna. Albo odwrotnie. Jakieś góry. Piękne. Tylko czemu tak się kołyszają? Płatki śniegu wielkie jak motyle. Stoje na tarasie domu, w którym trwa sylwestrowa zabawa. A konkretnie ten moment zabawy, w którym bolesne poczucie własnej nieprzystawalności kazało mi ją opuścić. „Proszę, przepraszam, ja zaraz wrócę", jak tyle razy przedtem. Wiem, że Lulek czeka na mnie siedząc

w ciemności na schodach. Stoje więc i łapię ustami śnieg tak, jak to robiłam w dzieciństwie. „Nawet nie wiesz, ile tam jest bakterii". Kolejna bakteria, która pożre mnie od środka. Przy następnej dzwoni David. Z daleka. Kompletnie pijany. Jego głos sunie chwiejnym slalodem między poplątanymi językami. Angielskim i hebrajskim. Trochę jidysz. I parę polskich przekleństw, których go nauczyłam. „Co robisz", pyta. „Łykam bakterie, a ty?" Rozumiem tyle, że zostawił Wikinga z Norwegii, a jego opuścił wizażysta, Jerome z Londynu. Jeden z dwóch w miłosnym uniesieniu wołał „mamo", co Davida deprymowało. Ale nie wiem który. „Uważaj na siebie", mówię (chyba po angielsku). „Dobrze, meine ijdysze mame", odpowiada David. „Kocham cię", mówi jeszcze (chyba ciągle do mnie). „Me too", odpowiadam na wszelki wypadek. Jeszcze inni dzwonią. Buba, Lemuel, Roberto. Bo to chyba północ. I ten nowy dzwoni. Bardzo ładny. Dwa razy. A stary nie. Nie to nie. Zjadam kolejnego motyla.

Mamo. Między moimi podróżami. Półmiłościami. W tęsknocie za rozkoszą. Wciąż oglądaną „z brzegów przyjemności". W pogoni za tym, co odda właściwy obraz mojego pragnienia. Wśród zużytych wizerunków, które niczego nie koją. W kuszącej szczelinie między fantazją, a jej starym, blaknącym obrazem. Czy z mojego miejsca w strukturze mogę tamto ciało odnaleźć raz jeszcze? Jak takiego samego ciała nie pomylić? W języku, którego byt jest niebytem rzeczy. Jak między wstrętem/fobią a wzniosłością/psychozą to, co niewypowiadalne zmienić w obiekt pragnienia? Jak pokochać jeszcze raz?



Potoczna mądrość mówi, że kobiety są bardziej zdolne do miłości niż mężczyźni. Matka, która adoptuje dziecko zaczyna mieć mleko w piersiach. Tylko kobieta potrafi tak pokochać innego. Właśnie w tym sensie „w każdym rodzaju miłości kobiecej przebija także coś z miłości macierzyńskiej”, jak pisze Nietzsche. Według Barthesa to kobieta predysponowana jest do tego, by nadać formę nieobecności. Napisać ją ciałem. Uczynić z niej opowieść. Jego zdaniem, przyszłość tekstu należy do podmiotu, który ma w sobie coś kobiecego. To ona „tka i śpiewa”. Barthes twierdzi też – wbrew Lacanowi – że dla pisarza istnieje przedmiot będący w stałym związku z przyjemnością. Jest to „język macierzysty”. Według niego „pisarz to ktoś, kto bawi się ciałem matki”.

A jeśli ja umiem bawić się tylko „ciałem ojca”? Jak mam tę dziwną Rzeczną zmienić w przedmiot pieszczoty? W skłonnym do igraszek ojczystym języku. Oswojonym języku, który nie zna tylko tej jednej rozkoszy. Jak pokochać cię jeszcze raz? Jak urodzić cię w nowych wizerunkach? Ciebie jako Innego? Ciebie we mnie? A przecież to twoje, na pewno twoje są „uśmiechy w ciemności snu”, mamo.

Do Małych Rzeczy Pamięci należy: Sznur drewnianych koralików, potrójnie owinięty wokół twojej szyi. Wieczorna bajka o Księżniczce na Szklanej Górze, która przez lata czekała na właściwego z Dwunastu Braci. O Księżniczce na Ziarnku Grochu skazanej na bezsenność, której przyczyn poszukiwała przez całe noce. Kape-

lusze z liści łopianu. Męchatozielone. Chronić nas miały przed burzą. Wielką burzą z obrazu Van Gogha, pędzącą za nami po niebie pełnym czarnych ptaków. Cukrowa wata, różowa, kupowana od staruszka, którego było ci tak żal, że płakałam z buzią pełną lepkiej słodyczy. Gra w przechodzenie przez ulicę. Zwyciężała ta z nas, której pierwszej udało się zrobić krok do przodu na zielonym świetle. Tańczące w zachodzącym słońcu muszki i spacer z moją dłonią w twojej. Piosenka o Cygance, która pod czymś oknem stała „cała zboczona w krwi”. Nocna jazda pociągiem i światelka mijanych domów zagarniane przez ciemność. Robienie dla ciebie prezentów i staranne ukrywanie ich, mimo iż chciałam, abyś natychmiast cieszyła się tym, co ci daję. Moje imię wypowiedane z intonacją taką, jakby przez litery sączyło się światło.

Pierwszą miłością Zeusa była Metis, matka Ateny. Jej imię oznacza „przebiegłość”, „roztropność”. Bóg Ojciec dogonił uciekającą przed nim wybrankę i poślubił. Gdy Metis zaszła w ciążę, Zeus dowiedział się, że wyda ona na świat córkę równą ojcu mądrością i siłą oraz syna potężniejszego niż rodzic. Bóg Ojciec, przerażony tą perspektywą, zwabił Metis do łóżka i połknął. Według teogonii, chciał, aby Metis, uwięziona w jego wnętrzu, służyła mu radą decydując, co jest dobre, a co złe. Atena miała zatem matkę. Metis pożartą przez Zeusa obawiającego się potęgi, którą nosiła w swoim łonie. W późniejszych źródłach wspomniano o matce Ateny, twierdząc, że dzielna córka poczęta została przez ojca bez udziału pierwiastka żeńskiego.



Gdy wychodziłaś z domu, przymierzałam twoje rzeczy. Fiolety i róże. Falbanki, koronki. Morskie zielenie. Zapach. Piżmo i róże. Pożyczałam twoje pierścionki. Z turkusem wielkim jak oko. Z karbowanym koralem. Po-brzękujące kółeczka bransoletek. Każde inne. Malowa-łam usta twoją szminką. Przed snem wyobrażałam sobie, że umierasz. Albo wychodzisz i nigdy nie wracasz. Prze-bierałam się za ciebie. Nienawidziłam cię.

Próbowałam cię odnaleźć w gładkich ciałach pięknych kobiet. Wrócić do ciebie. Pierwszej miłości. Pierwszego domu. Do ciała, które mnie nosiło w środku. Pamiętam. Mieszkanie z widokiem na wieżę ciśnień. Dwubasztowy zamek szaleńca w pięknym mieście nad rzeką. Na moim balkonie stał stary dywan. Zostawiony tam przez poprzed-nich właścicieli. Zwinięty w rulon. Na początku dał się przesunąć w kąt, z oporem, a potem zapuścił korzenie i już nigdy nie udało mi się go ruszyć. Przez lata obrósł mchem, który wiosną zakwitał mnóstwem malutkich żół-tych kwiatków. W jego wnętrzu gołębie zrobiły sobie gniazdo. Rano wylatywały w niebo z trzepotem skrzydeł. Nocami dywan gruchał żyjąc nocnym ptasim życiem. Le-żałam przy otwartym oknie, w ciemności, i słuchałam. Masza przychodziła tam do mnie. Z bukietem kradzio-nych fiołków w kieliszku. Albo zwiędłymi goździkami kupionymi od zapijacznej staruszki pod arkadami na Świdnickiej. Z niebieską butelką wina Liebfraumilch po opróżnieniu używaną jako świecznik lub wazon. Cały rząd tych butelek stał na parapecie, a światło, wpadając

przez nie, zamieniało pokój w akwarium pełne rucho-myh cieni wodnych stworzeń. Z zapachem indyjskiego olejku paczuli przychodziła. Z nowym niedobrym wier-szem, w którym zawsze był przynajmniej jeden dobry wers. Dopiero co wymyślonym słowem przynoszonym mi w prezencie. Do dziś mam jej „chmurdalię”, „włosblon-dy” i „smakołyce”. Z drobnymi, niemaczystymi piersia-mi. Pięknymi. Stawała w drzwiach i mówiła „jestem”, obronnie wzruszając ramionami. Z pocałunkami. Uwiel-białam je. Z mandarynkami, których nikt już potem nie jadł ze mną w taki sposób. Taka podobna. Jasna, długo-włosa. Obca. Między dwiema basztami wieży ciśnień wschodziło słońce. Otoczona ramionami takiego samego ciała kuliłam się w przerażeniu.

Szukam cię w mężczyznach. Mylisz mi się. Z innymi ciałami, które mają to wszystko. Daję im to, czego mi bra-kuje. To, czego ty mi nie dałaś. Wcale nie jestem do ciebie podobna! „Wykapany tata”. Twoje powiewne suknie. Moje dżinsy i obcisłe skóry. Taka inna chcę ci się podobać. Prze-brana za siebie mistrzyni kamuflażu. W kolejnym mieście, kolejnym domu. Na stole leżą nowe klucze, do których do-czepiłam falliczną figurkę satyra. Czyjs żart sprzed lat. Nie daje nawet złudzenia ciągłości. W jakiejś kuchni. Daleko. Nie swojej. Mieszam kawę. Za oknem przebiega kot. Po śniegu, na zmarzniętych łapkach. Tuż przed maską przejeż-dżającego samochodu. Upuszczam łyżkę. „Wszystko ro-bisz niezdarnie”. Podnoszę ją, wycieram i przeglądam się w wypukłej powierzchni. Zawsze tak robiłaś. Zmar-



twychwstajesz. Twoja nieracjonalna czynność magiczna zapisana we mnie na zawsze jak ślad w Wunderblocku. Fantazmatyczne zaangażowanie w pusty gest. Na jego dnie, jak w studni, zniekształcony wizerunek.

Od rana słucham arii porzuconych kochanek. Styczniowy wtorek, mgła, ktoś dzwoni, nudny tekst do przetłumaczenia. Znow Ariadna Monteverdiego (opuszczona nie wiadomo dlaczego). Śpiewa Emma Kirby. Mgła się pogłębia. Tekst nudnieje. Znow ktoś dzwoni. Potem Alcina Haendla (opuszczona, bo czar przysł po prostu). Śpiewa Kiri Te Kanawa. Pięć razy. Wstaję, idę do kuchni, wypijam jogurt. Obrzydliwy. Wystukuję czyjś numer telefonu. Rezygnuję w pół drogi. Medea Charpentiera (wolał inną. Po prostu.). Śpiewa Jill Feldman. Buba przysła e-maila z zaproszeniem na wystawę młodych artystów. Do diabła z młodymi artystami. Przeciągam się. Wyrzucam przez okno jedzenie dla dzikich kotów. Medea Haendla. Głosem Delli Jones. Trzy razy. Robi się ciemno. Nie widać więc co z tą mgłą. Może gdzieś pojechać? Teraz kolej na Dydonę Purcella (coś tam musiał zrobić jej ukochany. Założyć Rzym?). Najpierw śpiewa Ewa Podleś, a potem znow Emma Kirby. Każda po dwa razy. Już zupełnie ciemno. Ktoś dzwoni. Niech dzwoni. Albo odbiorę. Nie zdążyłam. Potem znow aria szalonej Medei z Teseo Haendla. Dziesięć razy. Kapię się przy otwartych drzwiach i słucham. Potem rutyna trzech różnych balsamów do ciała. Medea wciąż szaleje. Może po kogoś zadzwonić? Kilka wędrówek od pokoju do pokoju. Najdłuższa trasa w linii prostej liczy sobie dwadzieścia cztery kroki. Zadzwonić, nie zadzwonić.

nić, zadzwonić. Wychodzi „nie zadzwonić”. Wyłączam oba telefony. Śpiewaj, Dydono. Porzucona kochanka wstępuje na stos po raz kolejny. Powoli wstaje świt. I znow ta mgła.

„Mamo”. Tak łatwo zastępowalne przez „nie”. Wymienne. W sytuacjach granicznych. Tam, gdzie inwokacja jest jak znamię: znak prawie odpowiada temu, do czego się odnosi. Prawie. Ostatnie słowo szeptane jak zaklęcie, gdy inny odchodzi. Jego wizerunek blaknie, zaciera się, mamo, nie wiąż mi stóp. „Mamo” wypowiedane wobec „przerażającego odpływu obrazu”. Gdy to Ona właśnie opuszcza mnie po raz kolejny.

Ostatnia granico słownika rozpaczy. „Mamo” mojego bólu. „Mamo” mojej bezsenności. „Mamo” mojego lęku o świcie. Zakaż nasionom kiełkować jak Demeter. Ocal mnie.